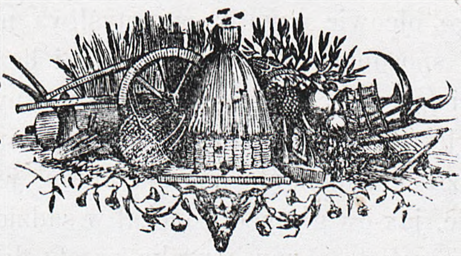
Tom XIII. Nr. 9.

21. września 1865.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Spuścizna.

Sprawiedliwie to mówią ludzie, że pieczone gołąbki nie lecą do gąbki. Mienie, szczęście, poszanowanie — wszystko to nie spadnie ci z powietrza, jeno musisz sobie na nie zasłużyć pracą, cnotą i uczciwością. Módl się i pracuj, oto najlepszy sposób dla każdego, kto chce, aby mu się na tym świecie powodziło jako tako. Kto nie pracuje, kto się nie stara, kto nie idzie prawą drogą — ten nie dojdzie do niczego na świecie, a jeżeli mu co kapnie z oszustwa lub przypadku, to marnie zginie jak kropla deszczu od słońca.

Jak sobie pościelisz, tak się wyspiesz, mówi mądre przysłowie. Jakeś sobie zasłużył tak ci Pan Bóg i ludzie odpłacą, bo to tylko prawdziwa własność, którąś własnym potem zarobił i to tylko prawdziwy majątek, do któregoś doszedł poczciwym starunkiem, a nie przypadkiem jakim albo nie daj Boże szachrajką.

Źle to bardzo, moiściewy kochani, że dużo jest jeszcze ludzi na świecie, co nie kierują się tą prawdą świętą. Toć nie potrzebuję wam mówić, ile to takich jest ludzi, którzy nie

pracą, nie uczciwością, ale różnemi nieczystemi wybiegami chcą przyjść do mienia i znaczenia. Oto jeden zamiast chodzić za pługiem, jak jego ojcowie czynili, przemyśliwa nad tem, jakby tu jakim lekkim sposobem odrwić drugiego i bez pracy przyjść do kołaczy, drugi spuszcza się na jakieś darowizny, trzeci myśli, że wygra w loterję, czwarty czycha znowu, aż mu jakiś bogaty krewny co zapisze, a żaden nie ima się pracy, jeno w lenistwie czeka na szczęście, jak ów głupiec, co leżał w sadzie pod drzewem, rozdziawił gębę i czekał, aż mu gruszka prosto do gęby spadnie!

Opowiem wam jedną prawdziwą historję, z której się przekonacie, jak to źle spuszczać się na rozmaite nadzieje a jeszcze przytem nie tylko o pracy ale i o Bogu zapominać. Nadzieja każdemu jest wolna, bo nadzieję dał nam biednym Pan Bóg z nieba — i cóżby niejeden nieszczęśliwy począł na świecie, gdyby mu jedyna pociecha, nadzieja nie pozostala jeszcze?... Ale samą nadzieją ani żyć będziesz, ani lepszego bytu się nie dorobisz, bo do nadziei potrzeba i własnej pracy. Spodziewaj się ale pracuj i staraj się przytem — oto jedyny sposób, abyś nie płakał potem na siebie.

Żyło we wsi Strzeliskach małżeństwo, Maciejowie Kozubowie. Maciej Kozuba pochodził z dostatnich gospodarzy, a ojciec jego nieboszczyk zostawił mu dobytek piękny i zagospodarowany, że jeno pracować i za chleb Bogu dziękować było potrzeba. Ożenil się jeszcze do tego Maciej z najbogatszą dziewuchą we wsi, tak że się jego gospodarstwo prawie podwoiło. Było więc o czem żyć w spokoju i pracy, i jeszcze dalszych przyrostków się dorabiać.

Tymczasem inaczej sią stało z Kozubami. W całem ich gospodarstwie był nieład i lenistwo, wszystko szło nędznie i marnie, że aż żal zbierało patrzeć na to wszystko. Domostwo, choć duże i pod gontem, było brudne i ponadpsowane, bo nikt o naprawę nie dbał, w izbie plugastwo i bieda, stodoła i stajnia się waliły, bydła wszystkiego ledwie dwie krowiny i jeden chudy i stary konisko, rola choć dobra i urodzajna nigdy nie była cała uprawiona i połowa prawie leżała odłogiem.

A przecież mówią ludzie, że kiedy się Maciej żenił, to był parobczakiem pilnym jak mało, a żona jego też do pracy

przyzwyczajona i nie leniwa, majątek jeszcze był w pięknym stanie i wszystko szło zrazu jak z płatka. Cóż to się tedy stało, że tak nagle Kozubowie opuścili ręce, że poczęli wylęgiwać się tylko na piecu, że puszczali marnie cały dobytek?... Oto opowiem wam to zaraz.

Oto widzicie Maciejowa miała bogatą ciotkę w mieście. Z ciotką zaś tą taka była historja. Kiedy jeszcze była młodą dziewczyną, zakochał się w niej i ożenił woźny od urzędu. Woźnemu temu wiodło się dobrze, bo miał trochę grosza od rodziców a do tego dobrą pensję od urzędu. Ojciec woźnego był szewcem w Jaśle i dobrze mu się wiodło, ale że był skąpiec wielki, więc nikt ani się domyślał, że on ma pieniądze. Dopiero kiedy się szewc postarzał i już dalej koło swego rzemiosła pracować nie mógł, kupił sobie piękną kamienicę za kilka tysięcy. Ale zaledwie sprowadził się do tej pięknej kamienicy, zachorował nagle i umarł. Otóż kamienica ta spadła na jego syna woźnego, co miał za sobą ciotkę Maciejowej.

Woźny jak odziedziczył kamienicę, to nie porzucił swego miejsca i nie wyniósł się do Jasła, jeno wynajął tam rozmaitym panom całą kamienicę a ci mu przysełali ztamtąd pieniądze do tego miasteczka, w którem był przy urzędzie. Miasteczko zaś to było z jakie dwie milki od wsi Strzelisk, w której mieszkali Maciejowie. W kilka lat potem umarł i woźny a nie zostawił żadnych dzieci, jeno wdowę, ciotkę Maciejowej. Wdowa ta była już bardzo stara, bo miała z jakich lat 70. Otóż widzicie, Maciejowa była jedyną krewną tej bogatej wdowy w mieście i miała też nadzieję, że cały majątek i kamienica w Jaśle po śmierci staruszki do niej będą należały.

Sprawiedliwa to była nadzieja i nikt jej za złe nie mógł wziąć Maciejowej, bo się jej po słuszności należała spuścizna po ciotce. Jednakoż nigdy nie trzeba czychać i spuszczać się na żadną schedę, jeno trzeba pracować swoją drogą dla siebie, bo nikt nie wie, co się jeszcze stać może, a łakomstwo na spuściznę jest zawsze niegodziwą rzeczą i grzechem.

Tymczasem jak Maciejowej wlazła w głowę ta spuścizna, to już o niczem nie myślała jeno o niej. A Maciej także widząc, jaki to gruby majątek spadnie na jego żonę, przestał pra-

cować jak dawniej i zaniedbywał gospodarstwa, mając zawsze nadzieję, że on i bez pracy zostanie niezadługo wielkim panem.

— Ot wiesz co mężuniu — mówiła Maciejowa do swego — czy nam to potrzeba zatracać zdrowie w ciężkiej pracy, czyż to my nie dostaniemy majątku po ciotce? Pofolgujmy sobie, bo i tak staruszka długo nie pożyje, a potem to już będziemy wiedzieli, co robić z takim majątkiem.

— A na juźci — odpowiadał Maciej — chybabym był głupi mitrężyć się w polu i tłuc kości w robocie, boć bym potem nie miał zdrowia, jak majątek odziedziczymy.

Jak powiedzieli tak też zrobili i odtąd ani Maciej ani Maciejowa już ani się palcem tknęli roboty, nie widziałeś już ich nigdy ani w polu ani w domu przy pracy, żyli sobie jeno jak państwo wielkie i siedzieli wygodnie w ciepłej izbie cały dzień boży. A gospodarstwo tymczasem jak już raz się przerwało, tak już poczęło marnieć i niszczeć i z każdym dniem upadało coraz bardziej.

Ale niedość na tem. Tak już to za Bożą wolą jest na świecie, moi mili, że jak się człowiek jednego złego dopuści, to już to złe ciągnie za sobą inne winy i kłopoty. Tak się też stało z Maciejami. I tak kiedy już zakradło się do Maciejów lenistwo zaraz w ślad za niem przyszła i pycha. Maciejowie jak poczęli ciągle rozmyślać, co to za skarby dostaną im się po śmierci ciotki, tak wyrachowali sobie zaraz, że oni już teraz na panów urodzeni. Poczęli więc pogardzać swoim stanem, wstydzili się tego, że są rolnikami, z innymi wieśniakami już ani mówić nie chcieli.

— Wiesz co Macieju — mówiła Maciejowa — nam już teraz nie można się wdawać z tymi chłopami. My już na co innego przeznaczeni, bo niezadługo będziemy już kamienicznem państwem! Już to co do mnie, to ja pewnie z żadną chłopką i mówić nawet nie będę, bobym psuła sobie mój honor!

— Ba a jakże — odpowiedział na to Maciej i zadarł głowę do góry jak burmistrz — co chłop, to chłop, a co pan to pan! Ja sobie jestem pan a ty Róziu jesteś sobie pani! A chłopom do nas zasię, bo my nie jesteśmy ich równi!

I Bartłomiej począł stroić pańską minę i włożywszy ręce do kieszeni patrzył się pysznie na powałę.

— Już to co masz rozum to masz! jakbyś się na pana urodził — mówi Maciejowa — a i ja też panować sobie potrafię jeszcze lepiej jak sama ekonomowa! Jeno wiesz co Maćku! musimy zrzucić z siebie te łachy chłopskie a kupić sobie coś w mieście pańskiego, aby się wyraźnie odróżnić od gromady.

— Dobrze masz Róziu — odpowiedział Maciej — jedźmy do miasta i przebierzmy się na wskróś po pańsku, aby honornie się pokazać między ludźmi.

I przedali, co tylko mogli, pojechali do miasta i pokupili sobie niby to pańskie suknie u żyda na tandecie. Suknie te były to same gałgany przechodzone, ale Maciejowie zapłacili za nie trzy razy tyle ile były warte, bo żyd wiedział, z kim ma do roboty i wołał ciągle:

— Cy! cy! cy! co to za rarytne suknie! w tym surducie panie Kozuba, to wy tak wyglądzić będżecie jak jaki graf albo forszteher!! A w tej żółtej kamizelce, pik! pik! to już akurat wam tak do twarzy, jak jakiemu pocesorowi! Bo też to wy macie minę pańską, jakbyście się richtik urodzili na wielkiego purec!

A żydówka tymczasem dogaduje Maciejowej:

— Ta czerwona kacabajka to dla was jakby odmierzył! A jacy wy piękni w niej!... A tego salop to pikes, tylko wy i pani prezesowa będą mieć takie! To pikes mówię wam pani Maciejowa!

I Maciej wraz z żoną wzięli to za prawdę i jeszcze drożej sypnęli pieniądzmi, a tymczasem Maciej wyglądał w surducie i żółtej kamizelce jak rabin w spencerze, a Maciejowa w czerwonej kacabajce jak strach w konopiach. Ale cóż to zaradzić głupstwu ludzkiemu! Maciejowie porzucili strój swój wieśniaczy, piękny, polski, strój poważny, który ich ojcowie nosili — i ubrali się w łachmany i fatałaszki marne!...

Wracając do domu, kiedy ich chuda szkapa wlokła leniwo przez wieś, oboje przybrali pańskie miny że aż powychodzili ludzie i patrzyli się na to cudowisko i śmieli się okrutnie z przebranych Kozubów. Kiedy Kozubowie byli już w izbie, poczęli

się do lusterka przypatrywać i różne z siebie dziwolągi wyprawiać, że ktoby był ich wtedy widział, byłby pękał od szczerego śmiechu. Maciej kiwał ciągle głową i popalał cygaro a Maciejowa ciągle dygała i dygała udawając panią:

— Słuchajno Maćku — rzecze naraz Kozubina — teraz to już wszystko jak się patrzy, jeno jeszcze jednego brakuje...

— A coby Róziu?... — pyta Maciej.

— Ot widzisz człek już teraz jakoś po pańsku wygląda, jeno widzisz trzebaby jeszcze coś zrobić wedle nazwiska.

— Wedle nazwiska a to jak? — pyta dalej Maciej.

— A no czy słyszał ty kiedy Maćku aby się taki pan jak ty zwał Kozuba?...

— Hum, hum — pokrząknął Maciej — Kozuba! Kozuba!... Nie, nie słyszałem.

— Otóż widzisz trzebaby nam jeszcze przemienić sobie imię, ot tak może na Kozubińskich...

Maciej z razu nie chciał na to przystać, ale jak go żona poczęła namawiać i pytlować nad uszami, więc przystał na to, że się od tego czasu nazywać będzie Kozubiński. I tak znowu wyrzekli się Maciejowie poczciwego nazwiska, którego ich ojcowie niczem nie splamili i przechrzcili się na państwo Kozubińskich! Od tego czasu już Kozubowie czyli Kozubińscy pozadzierali nosy do góry i pomiatali innymi poczciwymi ludźmi — choć się z nich i z ich państwa śmiała cała gromada.

Po tej głupiej pysze nastąpił jednak niebawem niedostatek i bieda. Maciejowie czekając na spuściznę, jak już wiecie, nic nie pracowali, gospodarstwo zniszczyli, a co jeszcze zostało, wysprzedali. A tu z samego państwa żyć nie można; trzeba chleba i pieniędzy. Musieli tedy zapożyczać się u żydów, robili długi po długach a w końcu cały grunt swój oddali żydom w zastaw.

Kiedy już tak Maciejom zaczęła doskwierać bieda i niedostatek, to zamiast się raz opamiętać i wziąść się do pracy i ratować resztę dobytku, poczęli leźć jeszcze głębiej w żydowskie ręce i nareszcie dopuścili się grzechu. Oto poczęli się wściekle gniewać o to, czemu już raz ta stara ciotka nie umrze!

— A to przeklęta baba! — wołał Maciej — my tu się już wytracili do reszty na czekaniu a ona żyje jakby już lat siedmdziesiąt nie miała na karku!!

— Ja ci też powiadam, że to czarownica — odpowiadała wtedy Maciejowa — nic to innego, jeno z biesem trzyma, bo to już stary trup a jeszcze nie wiedzieć na co po świecie się błąka!...

I tak poczęli przeklinać staruszkę, za to że jej Bóg długiego życia użyczył!... Tak to jeżeli człowiek raz zapomni o poczciwości, to coraz bardziej w grzech ciężki popada! Bo czyż jest moi mili grzech ohydniejszy jak życzyć komu śmierci, i to jeszcze takiemu, od którego się dobrodziejstwa oczekuje? Toć chyba morderca, co bliźniego zabija, gorszy jest od takich ludzi — ale i takiemu człowiekowi, co drugiemu śmierci życzy, nie daleko jest od morderstwa, bo go już choć nie ręką to myślą zabija, a nieraz to, kochani ludkowie, czego myśl zapragnie, to i ręka zrobi!

W końcu kiedy Kozubowie zeszli już prawie na nędzę, zaczęli się kłócić i bić między sobą, a jedno drugiemu wymawiać, że przez niego przyszło nieszczęście i nędza! I odtąd ciągle Maciejowie pijani wódką bili się i przeklinali się nawzajem, że aż zgroza przejmowała. A do tego wszystkiego przyszła wiadomość z miasta, że ciotka w mieście przyjęła sobie jakąś ubogą dziewczynę imieniem Zosię, aby ją pielęgnowała w chorobie, bo właśnie zachorzała była staruszka. Dziewczyna ta była biedną sierotą i już od dawna pomagała w niejednem biednej staruszce nie z żadnej chciwości jeno z serca, za co ją też ciotka Maciejów bardzo kochała.

Wiadomość ta narobiła okropnej zgryzoty Maciejom, bo ich strach okrutny wziął, aby ciotka całego swego majątku tej biednej sierocie nie zapisała. Tożto znowu był lament u Maciejów, przekleństwa i złorzeczenia, i obraza Boska!... Tak trwało jakiś czas jeszcze, kiedy naraz przybiegł z miasteczka do Macieja chłopak, którego oni umyślnie już od roku opłacali, aby tylko, jak ciotka umrze, zaraz im znać dawał. Maciejowa zobaczyła tego chłopca przez okno i zaraz jak szalona wybiegła na dwór a za nią i Maciej i zaraz krzyknęli do chłopca:

— A co umarła?!

— Umarła! — odpowiedział chłopak.

— No chwała Bogu! — zawołała Maciejowa, i zamiast pożałować swej bliskej krewnej, bo przecież ciotki, poczęła się aż śmiać z wielkiej radości.

Potem pobiegła zaraz z mężem do arendarza, wypożyczyli od niego wózek i konia, bo swego już dawno przedali, ubrali się w resztę łachów niby to pańskich i dalejże do miasta, co żydowska szkapa tylko wyskoczyć mogła!

Wpadli wnet do miasteczka i wbiegli jak szaleni do izby, gdzie staruszka umarła, z hukiem i trzaskiem i z radością i pychą na twarzach. W izbie był xiądz i urzędnik i popatrzyli obaj ze zgrozą na Maciejów, co się tak radowali z śmierci swej krewnej. Staruszka jeszcze tak leżała, jak skonała w łóżku. Widać do ostatka się jeszcze modliła, bo oczy jej jeszcze nie przymknięte zwrócone były ku niebu, a w ręce trzymała książkę do nabożeństwa. Przed łóżkiem klęczała sierotka Zosia i rzewnemi łzami oblewała martwe ręce swej dobrodziejki, którą jak drugą matkę kochała.

Pani Kozubowa, którą że już teraz doczekała się państwa, będziemy nazywali, panią Kozubińską nie spojrzała nawet na trupa swej ciotki, nie zmówiła nad nim nawet jednego pacierza, jeno poczęła biegać po izbie i oglądać wszyściuchno, przewracać w szafach i skrzyniach, a pan Kozuba czy tam Kozubiński zasiadł sobie na kanapie, zadarł głowę do góry i jeno sapał z pańska.

Xiędzu się bardzo markotno zrobiło na to wszystko, ale już nic nie mówił, jeno rozmyślał sobie nad nieczułością i głupotą ludzką. Tymczasem pani Kozubińska zobaczywszy sierotę Zosię przy trupie swej ciotki, zawołała z gniewem:

— A aspanna co tu robisz? hę? Co ty za jedna! hę? A toś za życia nazdzierała się majątku mej ciotki, który się mnie tylko patrzy, a teraz jeszcze udajesz płacz i smutek? hę? Owa! patrzcie mi, co za jedna! Już teraz nic nie dostaniesz! bo to wszystko moje! Fora ze dwora!!

— Tak, tak, dobrze mówisz Róziu! Fora ze dwora! — powtórzył Maciej i sapnął z wielką pychą.

— Ależ moi ludzie — mówi na to xiądz — toć dajcie się pomodlić biednej sierocie za swą dobrodziejkę; kiedy wy już sami nie modlicie się za duszę waszej krewnej!

Maciejowa popatrzyła pysznie z ukosa na xiędza i już chciała się z nim kłócić a potem wytrącić za drzwi biedną sierotę, która jeszcze bardziej płakała — gdy nagle wszedł burmistrz miasta i rzekł:

— Przyszedłem tutaj, aby razem z xiędzem proboszczem i z panem komisarzem odpieczętować i odczytać testament!

Urzędnik dobył testament, potem go rozpieczętowali i odczytali. W testamencie stało, że zmarła zapisuje kamienicę w Jaśle i domeczek, w którym mieszkała Rozalii Kozubowej, żonie Macieja Kozuby.

Maciejowa aż podskoczyła z okrutnej radości, ale ledwie już miała pewność, że kamienica i domek do niej należą, zaraz zawołała na sierotę Zosię:

— A więc my tu się już zostaniemy, aby poprzeglądać wszystko, co nam nieboszczka zapisała, a ty panno wynoś mi się z domu, bo widzisz, że choć się lizałaś nieboszczce, to ci figa z tego przyszła!

I poczęła się śmiać Kozubowa a Maciej sobie za nią. Tymczasem sierocie Zosi żal srogi ścisnął serce, bo ona nigdy nie miała żadnej chciwości na majątek nieboszczki, jeno ją szczerze kochała. Wstała też nieboraczka od łóżka i powiada:

— Ja też niczego nie chcę, jeno jakiej pamiątki małej po nieboszczce, bo Bóg widzi, żem ją sierota kochała jak matkę.

— Owa pamiątki! — wrzasnęła Maciejowa — a czegożbyś to aspanna chciała? hę?

— Prosiłabym panią — odpowiedziała pokornie Zosia — o tęk siążkę do modlenia, z którą nieboszczka umarła.

Maciejowa nie umiała sama czytać, więc też już wstyd ją zebrał, aby takiej drobnostki nie dać sierocie, rzekła więc:

— No to sobie weź tę książkę i idź sobie z Bogiem!

Zosia wyjęła książkę z rąk nieboszczki, ucałowała jeszcze raz jej ręce i chciała już odejść, kiedy naraz z książki wypadł jakiś papier z pieczęcią. Urzędnik podjął zaraz ten papier, przeczytał go prędko i mówi do Zosi:

— Poczekaj bo to dla ciebie. Oto nieboszczka na tym papierze zapisuje tobie tysiąc reńskich, które schowane są w kasie miejskiej i wszystkie swoje suknie a to na to, abyś miała wiano!

Gdyby z jasnego nieba spadł był piorun na Kozubów, toby się nie byli tak strasznie przerazili.

— Co! tysiąc reńskich!? — wrzasnęła Maciejowa.

— Tysiąc reńskich! — huknął Maciej i oboje z wściekłym gniewem porwali się z siedzenia.

— Tu nie ma co krzyczeć — mówi na to surowo urzędnik — ten zapis jest według prawa zrobiony i zasię przeciw temu co wygadywać. Toć wam dość na tem, że macie ten domeczek i kamienicę w Jaśle.

— Tak, tak Róziu — odezwał się Maciej — niech ją tam za naszą krzywdę! Ale my przecież kamieniczni państwo!

Ale Maciejowa z wielkiej złości i zawiści jeszcze przemówić nie mogła, kiedy naraz drzwi się otworzyły i przyszedł pocztarz.

— Mam tu list z Jasła do nieboszczki — mówi — komu go oddać?

— A jużciż że nikomu innemu, jeno mnie, bom ja jej dziedziczka! — odpowiedziała Maciejowa i chwyta za list.

Rozpieczętowała go też zaraz, ale że go nie umiała przeczytać więc dała go xiędzu, a xiądz począł list czytać głośno. W liście zaś tym stało:

„Szanowna pani!

„Donoszę pani smutną nowinę, jako wczoraj w nocy kamienica pani, w której i ja mieszkał, spaliła się do szczętu, tak że tylko cztery rozwalone ściany zostały. Wielkie to nieszczęście i strata, bo pani w ostatnim roku zapomniała się zapisać i opłacić w asekuracyi.“

Maciejowie mało nie upadli na ziemię, bo już było po ich państwie kamienicznem!

— O ja nieszczęśliwa! — poczęła krzyczeć i zawodzić Maciejowa, a Maciej struchlał cały i stał jak drewno z wielkiego frasunku.

Ale cóż robić? Nie pomogły płacze i lamenta, bo co ogień odebrał tego już nie odda. I tak kara Boża spadła na Maciejów za ich chciwość, za ich pychę i nieludzkość!

I oto aby wam długo nie gadać, tak się skończyła cała historja: Maciejom ze wszystkiego państwa został tylko domeczek drewniany, w którym umarła nieboszczka i pogorzelisko w Jaśle. Musieli też jedno i drugie przedać za małą sumkę i wrócili do wsi z spuszczonemi nosami, a gdy się obliczyli, to się pokazało, że nawet całego gruntu za te pieniądze od żyda wykupić nie mogli jeno połowę. I rozpoczęła się znowu ich nędza. Za pychę ukarał ich Bóg upokorzeniem i wstydem, za chciwość biedą, za państwo pośmiewiskiem i nędzą. Teraz pchają swoją biedę jak mogą a że się po trosze opamiętali — to może też znowu kiedy za jakich lat kilka będą choć mieli żyć z czego.

Tak to, tak kochani ludkowie wymierza Bóg sprawiedliwość! Do tego to doprowadza lenistwo i chciwość!!

Wojtek ze Smolnicy.

Dobre wiano.

Hej nie szukaj parobeczku bogatego wiana,
Lepiej żona pracowita, niźli wyzłacana,
Bo co tobie po majątku i co ci po wianie,
Jeźli ci się leń bogaty do chaty dostanie?

Dobre wiano: gdzie dobytek, gdzie grosz odkładany,
Piękne dziewczę, gdzie uroda, buziaczek rumiany —
Lecz nad piękność, nad urodę, nad srebra i złota,
Lepsza zawsze pracowitość a najlepsza cnota!

Lepszy statek niż dostatek, pilność niż majątek,
Gdzie przy groszu jest lenistwo — tam nędzy początek!
Gdzie przy mieniu jest rozpusta, nie ustrzeżesz sromu,
Lepiej zawsze mieć ubóstwo niźli piekło w domu!

Wnet majątek się rozejdzie, wnet się grosz rozpłynie,
Minie młodość a z nią hożość i uroda minie!
Ale cnota pozostanie w najpoźniejsze lata,
A przy żonie pracowitej wspomoże się chata!

Oj nie szukajże majątku lecz cnoty w dziewczynie,
Nie bierz sobie chłopczo pani, ale gospodynię,
Nie bierz sobie karczemnicy, choć urodą świeci,
Bo ci nie trza tanecznicy, lecz matki dla dzieci!

Wojtek ze Smolnicy.

Co słychać?

Źle słychać, panowie gospodarze, źle bardzo — zkąd tylko wiatr zawieje, to lichą nowinę nadniesie. Już to nie wiem, czy kiedy gorsza nasz kraj przyciskała bieda, czy kiedy tyle klęsk nawiedziło naszą nieszczęsną polską ziemię, co tych właśnie czasów! Bo to gdy człowiek pamięcią zasięgnie w tych kilka lat ostatnich, to i rozlew krwi polskiej straszny i woda i ogień i wszelaka inna nędza srodze nas dotknęły.

A i teraz choć bym z wami rad trochę weselej pogawędzić, to Bogiem a prawdą nie mogę, bo o czem człowiek tylko wspomnie, to zawsze na żałość się zbiera, dobrego przez okulary nie zobaczysz a złe aż po uszy sięga!... Ale cóż robić, trzeba znosić, co Bóg dopuszcza i radzić sobie jako tako, aby gorzej nie było.

Już to najgorzej może niszczą tego roku pożary. Z każdziuchnej strony naszego kraju, o niczem nie słychać jeno o ogniu i ogniu. Toć donosiłem wam za każdą razą, skoro się tylko pożar wielkie przytrafił, a już nie pisałem nic o małych ogniach, jeno o takich, które całe miasta poniszczyły. A zaglądnijcie jeno do Różności w wszystkich tegorocznych numerkach Dzwonka i policzcie, ile to się setnych i dużych miast popaliło, ile to nowych żebraków, ile nędzy i głodu przybyło między nami! Mocny Boże! toć aż włosy stają na głowie i aż się serce kraje!... I żeby choć to wszystko ustało! Gdzież tam! Ciągle donoszą o nowych pożarach a najczęściej we wsiach, których już i nie porachować, co ich tam napogorzało!

W całym kraju gwałt wielki, zkąd powstają te pożary, bo żadnego roku tyle ich nie było. Najpierwej, bo już od trzech lat, zaczęli jacyś złoczyńcy palić w moskiewskim kraju miasta, a potem ognie te przeszły do Polski pod Moskalem a

teraz i u nas gubią mienie biednych ludzi. Aż straszno mówić, że się pokazuje teraz, że w wielu miejscach podpalają jacyś rabusie i łotry. Gdzie niegdzie te łotry rozpisują listy do ludzi, w których im grożą, że jak tyle a tyle pieniędzy nie zapłacą, to ich spalą! Mocny Boże, czyż może być większa zbrodnia!

Otóż władze i urzęda pilnie ścigają takich łotrów i da Bóg nie zadługo wyłapią tych bezbożników. Już nawet z jednej strony donoszą, że kilku takich podpalaczy złapano, a sprawiedliwa kara ich pewnie nie minie od sądu. Ale trzeba też przyznać znowu, że więcej jeszcze pożarów powstaje z nieostrożności samych ludzi. Bo to zważcie sami, jak to u was nie pamiętają o tem, aby się przed ogniem chronić. Prawie wszędzie wieśniacy nie pilnują się przed tą klęską — i jakżeż nie ma być nieszczęścia, jeżeli wszędzie jest niedbałość i nieostrożność?...

Strzeżonego Pan Bog strzeże; mówi gadka staropolska i świętą prawdę mówi. Dla tego po miastach wzięli się już na dobre do tego, aby zaprowadzić porządek i strzedz się ognia, a na przypadek, gdyby nie daj Boże gdzie wybuchł, aby spiesznie i dobrze ratować. We Lwowie już nawet najmuje urząd miejski 500 młodych rzemieślników, których będą uczyć i ćwiczyć w tem, jak w razie przypadku gasić pożar. A kiedy tak już po miastach, gdzie i tak zawsze większy porządek, zabierają się do ostrożności, toć po wsiach tem bardziej o tem przemyśliwać ludzie powinni.

Napominamy was więc, mili ludkowie, abyście się strzegli przed pożarami i zachowali ostrożność w chacie i na dworze, a dawali pilny pozór na wszystko, z czego by ogień mógł powstać. Już to najbardziej wójtowie powinni pamiętać, że na nich polega bezpieczeństwo gromady i powinni też przypilnować, aby warty nocne były dobre i aby się na ich czujność i uwagę mogła spuścić gromada. A każdy z was, panowie gospodarze, powinien też być na każde zawołanie w pogotowiu z ratunkiem, i mieć pod ręką narzędzia do gaszenia, które mu trzymać nakazano, jako to: konewki, siekiery, haki, drabiny i t. d. Tylko wtedy, jeżeli każdy zrobi to, co do niego należy, a nie będzie

się spuszczać na drugich, będzie bezpieczeństwo we wsi i pomoc dobra w nieszczęściu. Dla tego też wołamy na was raz jeszcze: Ostrożnie z ogniem!

Drugiem wielkiem nieszczęściem, które nasz kraj nawiedziło, jest nieurodzaj. Zewsząd się skarzą, że zboża mało, że pola nie porodziły. A i jakże porodzić mogły, kiedy najpierw mieliśmy posuchę okrutną, a potem zimno i deszcz bez końca. Kiedy potrzeba było deszczu to była pogoda i upał, a kiedy potrzebna była pogoda, to znowu były deszcze! Za to też wszędzie brak chleba! Już też się troszczą wszędzie, o czem ludek przezimuje — a jest też wielka obawa, aby głód nie daj Boże nie nawiedził ludzi osobliwie w górskich okolicach. Dla tego też radzą tu rozmaicie po gazetach, jakby tu zaradzić biedzie, aby kraju nie nawiedziła a niektórzy panowie powiadają, że najlepiej by założyć zawczasu wielkie szpichlerze z zbożem, aby później, jakby był na przednowku niedostatek, rozdzielać między ubogich. A o zwolnieniu podatków też jest mowa, ale to od tego zależy, co wola cesarska zarządzi. A zresztą może to Bóg Najłaskawszy od nas odwróci, a może też sejm nasz lwowski, którego na drugi miesiąc tu wyglądają, jakie sposoby poradzi, a zaś tymczasem rachujcie się dobrze, kochani ludzie, oglądajcie się na tylne koła, jak to mówią, pracujcie, oszczędzajcie i miejcie w Bogu nadzieję!

Jak już źle, to źle. Trzebaż było jeszcze, że kiedy u nas bieda, to znowu za granicą pomór na ludzi panuje! Oto widzicie wybuchła we włoskim kraju cholera, a przecież wiecie co to za okrutna plaga! Ludzie giną jak muchy, i to za kilka godzin! No chwała Bogu, że do nas ten mór nie doszedł a za Bożą pomocą i nie dójdzie, a nawet i za granicą już ustaje. Cholera ta przyszła tego roku z Afryki, z kraju pogańskiego, co się zwie Egipt, gdzie panuje bardzo wielkie gorąco, a cholera gorąco wielkie lubi. Do tego jeszcze musicie wiedzieć, że w tym Egipcie obchodzą święto wielkie pogańskie, a na to święto zbiega się naraz po kilkaset tysięcy Turków na kupę i z tego samego już rodzi się złe powietrze. A do tego jeszcze, każdy taki Turek ofiaruje według swej religii po kilka baranów, a kiszki i głowy z tych baranów wy-

rzucają pod gołe niebo, więc możecie sobie wystawić co to za zepsucie powietrza, gdzie tyle tego na czystem polu gnije naraz! I ztąd też powstała tego roku cholera.

Jak tylko ta cholera wybuchła, zaraz wszyscy monarchowie porozstawiali warty nad granicami, aby nikt nie przeniósł z sobą tej plagi. Dla tego też każdy podróżny, co powracał z kraju gdzie była cholera, musiał na granicy zatrzymać się przez kilkanaście dni, i aż się pokazało, że nie jest chory, wtedy dalej mógł jechać.

Chociaż nie ma strachu, aby się ta choroba dostała aż do nas, to przecież dla ostrożności ponakazywano po większych miastach, aby zachowana była po domach i ulicach czystość, bo nic tak zdrowiu nie szkodzi jak niechlujstwo. A już to i w niejednej chacie włościańskiej siła jest plugastwa, a ochędóztwa ani za grosz, a gdzieniegdzie nietylko, że izba brudna i nie omieciona, ale jeszcze w niej drób a nawet cielęta nieraz trzymają. Jakież to tam może być zdrowie ludzi, gdzie taka niechlujność?...

Otóż i nagadałem się wam o wszystkiem złem, o pożarach, o nieurodzaju, o cholerze, a dobrego nic wam nie doniosłem. Ha cóż robić! Nalejże z próżnego! tego już i ów król żydowski Salamon, co był taki mądry niezmiernie, nie zrobi! — Co Bóg dał trzeba znieść a rąk nie opuszczać, jeno pracować i radzić, jak kto może! A prędzej czy później zawsze nam lepiej być musi, bo złe nie wieczne, a bieda jak przyjdzie tak i pójdzie kiedyś za niebieską pomocą.

Panu Bogu was oddaję, panowie gromada!

RÓŻNOŚCI.

Zakupno wsi przez włościan. W Tarnowicy w powiecie tyśmienickim chciał dziedzic przedać całą swoją własność. Dowiedziała się o tem gromada i markotno jej było, że dziedzic się wysprzedaje, bo wiedziała, że to teraz żydzi i niemcy rwą się za polskimi majątkami, więc też i Tarnowica mogłaby się dostać w jakieś ręce nieswojskie. Kiedy się tak gromada kłopocze, zwołał tamtejszy xiądz proboszcz najbogatszych i najpoważniejszych gospodarzy i doradzał im, aby wszystką

posiadłość dworską zakupiła sobie sama gromada. Gospodarze usłuchali tej rady, gromada przystała i zaraz poszli tarnowieccy włościanie do pana, aby wieś utargować. Zgodzili się też wkrótce. Złożyli trzy tysiące reńskich gotówką na zadatek a teraz napisali tu do Lwowa, aby im tutejsza kasa oszczędności pożyczyła więcej pieniędzy na to zakupno. Uchwalili także między sobą, aby propinację odprzedać na wieczne czasy, i tym sposobem dostać znowu pieniądze — i ot tak niedługo za Bożą pomocą włościanie tarnowieccy nabędą wieś swego dziedzica na własność, a potem podzielą między siebie grunta. Dobrze by to było bardzo, aby wszędzie, gdzie dziedzic przedaje swe grunta, a cena nie bardzo wielka i gromada zamożna, kupowali sobie włościanie i dzielili się między sobą a tak i sami polepszą swój byt i ziemia w cudze ręce nie przejdzie.

Zatrute grzyby. Kilka się już wydarzyło wypadków, że się ludzie potruli złemi grzybami. Teraz znowu donoszą z Przemyśla, że się tam troje ludzi otruło grzybami. Każdy więc powinien uważać, aby nie jadł takich grzybów, o których nie jest pewien, że są dobre, bo inaczej do nieszczęścia łatwo przyjść może. Lepiej nie jeść całkiem grzybów, niż dla marnej strawy ginąć ze świata.

Świętokradztwo. Donoszą, że na dniu 8mym września, to jest w Narodzenie Najświętszej Panny, miała się odbyć w Rzeszowie wielka uroczystość koronacyi cudownej Matki Boskiej, co tam słynie od lat wielu cudami. Przed dwoma latami, to jest w 1863 roku, już się była odbyła taka uroczystość, i śliczną koronę włożono na statuę Maryi, lecz aże przykro i strasznо to powiedzieć, że korona ta została ze statuy Matki Boskiej przed kilku miesiącami skradzioną. Zły człowiek nie bał się nawet do statuy Maryi siągnąć, aby swojej złośliwości i łakomstwu zadość uczynić. Jakże to dopiero gdzieindziej nie mają kraść złodzieje, gdy się to czynić i w kościele nie boją.

Nieszczęśliwy wypadek. W przeszłym miesiącu jechało gościńcem przez Droginią kilku chłopaków wielkim pędem, chcąc się wymijać; co czyniąc nierozważni, wpadli na podletniego już służącego z młyna w Dobczycach. Nieszczęśliwy ten człowiek chciał uciekać i schronić się pod same poręcze, ale i tam go dogonił wóz jeden i obalił, a koła przeszły mu głowę, piersi i brzuch, tak, iż na miejscu żyć przestał. Rozpustne chłopaki, co się tego dopuścili, są to parobcy z Czechówki, którzy po tym wypadku poczęli, zaciąwszy konie, uciekać, ale ich ludzie z Drogini złapali i do urzędu dostawili. Jednakże to biednemu zabitemu życia nie wróci.

Niech to będzie na przestrogę dla tych szaleńców furmanów, co to pasję mają wymijać się. Bo co ci z tego przyjdzie, że jeden drugiego wyminiesz? a możesz łatwo kark sobie skręcić, albo niewinnego o życie przyprawić.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.